

części intymne

tak narastają zmiany: dziewczyny już nie wpuszczają nas nocami do pokoiów,

nawet za okazaniem talii kart czy też zdartego do krwi plastra kory.
dopiero stąd wzięta się gęstniejąca konieczność podglądania.

zgrzybiałe słoneczniki z końcem lata chylą się ku ziemi, gdy światło za nic
ma rozżarzoną skórę i matowiejące spojrzenia; właśnie wtedy, kołysząc całym
ogrodem,
ciepłe i wyczuwalne w smaku na końcu języka, schodzą ku trawie po zgiętych leniwie
schodach.

za siebie, za siebie oglądają się ich sukienki, jakby wspomnienia wtulały się w furkoczące
falbanki.
dziewczyny szepczą, jak gdyby szkicowały zmierzch cieniem lub henną. potem przychodzi
sen i zapala lampy.
dostatek przedmiotów wpija się w słodkie okruchy powietrza. korzenna ciemność staje
się przedmiotem handlu;

noc kusi drzącym zakresem kształtów, w przymierzu z wiatrem łagodnie rozchyła przetkane
wahaniem firanki.
jeszcze nie znamy istoty zmian, a jest nią to, że nic nie da się zmienić. a wielu z nas
naprawdę myślało,

że nieudany zachód słońca można wykręcić i zmienić jak śrubkę. a potem wziąć na
warsztat ciało.

lekcja anatomii

były to śluz i szlam, syjamskie siostry mieszkające na płycznach, gdzie, ubłoceni
zapachem wakacji,
kładliśmy się na plecach i odkrywaliśmy nagle chmury w spamiętanych ciałach.

białe włókienka przeciągały po powierzchni wody, kiedy mówiliśmy z czcią: przedramię
jak gałąź niezbyt pewnie otulona mchem. związane cienką, zieloną nitką, wносиło
w powietrze coś,
czego nie potrafiliśmy jeszcze nazwać zapachem piżma. słowa dopiero zaczynały
upominać się o swoje prawa.

potem płowe nadgarstki. inwentarz, który mniej należał do dziewczynki z długim,
deszczowym kosmykiem
na czole, niż wpełzające spod kory stworzenia, chrząszcze o połyskliwych pokrowcach
na skrzydła.

i nimi mieliśmy się stać, kiedyś. choćby patrząc,
jak, zamyślona, przeciąga dłońią po brzuchu, jakby chciała zwilżonym palcem zmyć
rozgałęziające się blizny.

bo spodziewaliśmy się na postrzępionych brzegach jej ciała jakichś śladów.

śluz i szlam wskazywały patykowatymi palcami w innym kierunku: drugą stroną drogi
przesuwały się stare kobiety, okrycia leżały na nich jak rdzawe łuski na cebuli. tym
czujniej
podziwialiśmy trzeci paznokieć lewej stopy, kryształ górski w miękkiej oprawie. małą
zapowiedź brzucha,
który mógłby być przecież ostrzygą. gromadzić, do czego dochodziliśmy po każdym
nieomal zmierzchu, światło.

była tam jeszcze kostka, oznaczona pieprzykiem. bo skóra obrasta głosami,
które mają prowadzić, na zmianę zwodząc i rozszczepiając, do skarbów.

może dlatego czasem, zawołana, podchodziła bliżej. wkrótce przez oprószony cukrem
waniliowym zapach
dokładnie obrysowaliśmy sobie w głowach lśniącą foremkę jej ciała;

ułożyłaby się nam w dłoniach miękko i ściśle jak piasek. znaleźmy i umieliśmy wyjaśnić
każdy zaulek ramion,
doprawdy, doktor tulp byłby z nas dumny, gdyby nie to, że nie chcieliśmy wiedzieć,
co może być w środku, jaki mechanizm pełen mosiężnych lichtarzy i kótek zębatach.

jeszcze wierzyliśmy, że ludzie - tak jak słowa - mają swoje kontynenty.

podobno kiedy kontynenty zetkną się, następuje koniec świata.

atlas zagrożonych zwierząt

robiliśmy wszystko, żeby do końca życia nie pozostać tylko przybyszami zza Buga,
dziećmi ich dzieci, gałęziami ułamanymi drzewom. ale nawet tutaj jesień
bierze nas w palce tylko bardzo ostrożnie, jakbyśmy byli świeżo upieczonym w ognisku
ziemniakiem.

zostawiamy ciemne smugi na palcach, dlatego omijają nas. jest w tym coś
pochmurnego,
ledwie wyjdziemy na parę godzin, po powrocie znajdujemy w pokojach martwe owady.

nie rozumiemy, ale próbujemy żyć jak wszyscy tutaj.
za parę chwil wybierzemy się kilka kroków dalej, do odnawianego kościółka,
gdzie rusztowania z wysokich belek, pachnie oheblowanym drewnem;
tylko woń starych kobiet w pierwszych fawkach przygłusza ten zapach.
psalmy są tu matowe jak meszek na brzoskwini, ale dzień, żeby zabłysnąć,
przyjdzie jak złodziej w nocy. zastuka w szybę garścią kamieni, gałkzką lub ptakiem.

pójdziemy. obiecaliśmy sobie, choć znowu będą patrzeć na nas, jakbyśmy mieli kurz
na rękach.

tymczasem omijamy się wzrokiem jak dziury w asfalcie, trawa wzdłuż drogi jest mokra.
psy podchodzą.

po zmierzchu dotrzymuje nam towarzystwa miękki dywan ciem. nad ranem słuchamy:
po drugiej stronie rzeki
młyn pana B. mielą powoli, z każdym dniem coraz dokładniej.